

CZERWONYM SZLAKIEM BESKIDZKIM

WSTĘP

...początkiem lipca 2008 roku wybrałem się sam w góry. Na Hali Głuchaczki między Piłskiem a Babią Górą spotkałem trójkę wymoczków, którzy dotarli do bazy namiotowej tuż po oberwaniu chmury i gramolili się z rozbiciem namiotu. Okazało się, że parę dni wcześniej ruszyli z Ustronia i zmierzają w Bieszczady. Następnego dnia schodziliśmy wspólnie z Babiej Góry. Wtedy Ela, zaczęła mi opowiadać o szlaku, którym idą...

...w drugiej połowie sierpnia, wraz ze znajomymi wędrowaliśmy Beskidem Żywieckim. Na Hali Górowej pod Piłskiem, w nocy, grzejąc się przy piecu, poznałem młode małżeństwo. Prawie od miesiąca wędrowali górami, szli z Wołosatego do Ustronia. Zostały im trzy, może cztery dni, by zdobyć upragniony cel i przejść cały Czerwony Szlak Beskidzki...

...i tak około listopada zacząłem się zastanawiać jak to zorganizować: kiedy iść, w ile osób, co potrzebne, co przygotować, czytałem o szlaku, przeliczałem kilometry, planowałem etc.

...w marcu pojawiły się konkretne plany...

...w maju konkretne przygotowania. Trzeba było formę podciągnąć, sprzęt zorganizować, dokładnie wyliczyć jedzenie, podzielić trasę...

...dzień wcześniej wieczorem, przyjechał Grzesiek Lejda. Mieszka w Tyńcu pod Krakowem, z wykształcenia informatyk, lubi chodzić po górach. Tak się zreszta stało, że z kilkusobowej grupy, tylko nasza dwójka się ostała. Tak bywa, ale mimo to humory dopisywały. W pokoju oparty o ścianę plecak: trzydzieści kilogramów, a w tym siekiera, łopata, namiot, kuchenka, jedzenie i mnóstwo innych drobiazków. Co jak co, ale od tego co będziemy nieśli na plecach, będzie zależało nasze życie prze najbliższy miesiąc, czyli 519 km po górach...

BESKID ŚLĄSKI

dzień 1 (16 czerwca 2009)

Nadszedł długo oczekiwany dzień. O szóstej rano obudził mnie regularny stukot deszczu o parapet. Wstałem, westchnąłem do Boga i wybrałem się do sklepu po świeże pieczywo. Przeszedłem zaledwie dwieście metrów i cały spływałem deszczem. Po obfitym śniadaniu, około siódmej wyjechaliśmy do Ustronia i gdy dotarliśmy na miejsce deszcz ucichł. Zarzuciwszy na plecy ciężkie plecaki, szukaliśmy chwile tabliczki z początkiem szlaku, lecz w końcu odpuściliśmy sobie. Ruszyliśmy by przejść górami ponad pół tysiąca kilometrów.

Droga początkowo niewinnie wiła się przez Ustroń. Doszliśmy do pierwszego wzniesienia. Pięliśmy się na Równicę. Pojawił się u mnie pierwszy kryzys. Plecak niemiłosiernie korzystał z siły grawitacji. Tak długo wyczekiwany dzień, wymarzona wyprawa, a tu pierwsze podejście i już zniechęcenie. Fakt początki bywają trudne, ale przecież nie od dziś chodzę po górach. Po paru kwadransach byliśmy przy schronisku. Zmęczenie było widoczne, dało nam w kość to podejście, a przecież założenie niby proste: idziemy sprawnie do zmroku. Jednak było inaczej. Z Równicy znów do Ustronia, skąd kolejna wspinaczka, lecz tym razem na Czantorię. Pot się lał i znów słabość doskwierała. Na Czantorii pierwsze łyki herbaty, bo chłód zaczął doskwierać. Dalej droga prowadziła przez stację turystyczną, gdzie „uprzejmy” gospodarz wprost zapytał czy na nas zarobi, a gdy zaprzeczyliśmy, nie pozwolił nam nawet usiąść na ławce. Na szlaku minęliśmy jeszcze schronisko Soszów z panią, której więcej

nie było, niż była i Stożek, pod który szliśmy zasapani, a na głowę lał się deszcz. Następnie zaczęły się poszukiwania miejsca na nocleg. Trwało to trochę, ale w końcu zesliśmy ze szlaku i znaleźliśmy w miarę równe podłoże. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dwa świerki, które rosły na środku tego niewielkiego kawałka trawy. Po krótkim namyśle postanowiliśmy przesadzić młode iglaki, co też sprawnie uczyniliśmy. Rozbiliśmy namiot, stopy umyłem w rosie i spokojnie zjedliśmy obfitą kolację z deserem, bo jakby nie było szliśmy dwanaście godzin pokonując ponad trzydzieści kilometrów. Dobranoc.

dzień 2 (17 czerwca)

Pierwsza noc minęła spokojnie, choć było chłodno. Wstaliśmy o dziewiątej, bo trzeba było się wyspać. Zarówno ja, jak i Grzesiek od paru dni byliśmy niewyspani, wypadało więc nadrobić zaległości, zwłaszcza, że sen podczas długotrwałego wysiłku jest bardzo ważny. W efekcie na szlak wyszliśmy dopiero przed południem, co niestety wpłynęło na naszą trasę. Została ona skrócona, ale myślę, że i tak więcej nie dałbym rady dziś przejść. Stopy bołą, plecy bołą, ale najbardziej bołą ramiona. Beskid Śląski zaliczony. Nocujemy dziś za fortem w Węgierskiej Górcie, bo okazało się, że pole namiotowe jest nieczynne. Po dziesięciu godzinach marszu zdeterminowany wykąpałem się w ciemności w Sole. Na szczęście już prawie lato, więc nie zamarzęm. To był długi dzień. Nie padało, a droga – prócz

¹ Owa gospodyni pojawiła się tylko na początku, by nas przywitać, później wszelki ślad po niej zaginął. Mimo naszych usilnych starań: wołania, stukania, szarpania za kłamki itp. pani się nie pojawiła. Gdy już wychodziliśmy wyglądnęła tylko by nas pożegnać.

długiego zejścia do Węgierskiej Górki – była łagodna. Idę już spać,
bo minęła północ, a jutro czeka nas długi i ciężki odcinek szlaku.

BESKID ŻYWIECKI I MAKOWSKI

dzień 3 (18 czerwca)

Doszliliśmy do nieczynnej bazy namiotowej na Głuchaczkach o dwudziestej trzeciej, zero, siedem. Nie ma wody, a cały nasz zapas to trzy litry – jesteśmy podłamani. Czternaście godzin na nogach. Jestem wyczerpany. Dziś znów deszcz zaatakował. Na szlaku z Węgierskiej Górki na Rysiankę pełno ściętych drzew bardzo utrudniło naszą wędrówkę. Późnym popołudniem długi postój w schronisku na Hali Miziowej. Szlak nie przechodzi przez szczyt Pilska, tylko łagodnie zbiega do Korbielowa, co oszczędziło nasze nogi. Na Jaworzynę – ostatni szczyt przed Głuchaczkami – wychodziliśmy w zupełnej ciemności.

Dziś obiecałem sobie, że napiszę o milczeniu. Od trzech dni wędruje z Grzegorzem. Idąc, prawie cały czas milczymy – to niesamowite, to piękny czas spędzony z Bogiem, z drugim człowiekiem i z naturą. Piszę o tym bo samego mnie to zadziwia. To modlitwa, medytacja, rekolekcje, takie dane prosto od Boga, bez żadnego planu czy zadań.

dzień 4 (19 czerwca)

Od wyjścia z Głuchaczek głównym naszym zmartwieniem była woda. Nie ważne, że mętna, że śmierdzi, że coś w środku pływa, najważniejsze by była mokra. Dobry Bóg ocalił nas dziś od deszczu dwa razy. Jesteśmy już w namiocie, minęła północ. Jutro zdecydujemy się na krótką trasę, bo znów szliśmy ponad dziesięć godzin, więc było ciężko. Czuliśmy się dziś jak byki na pastwisku, a to za sprawą milusińskich much, które skutecznie uwiedliśmy.

Otrzepując dłońmi włosy, te skrzydlate żyjątka padały po osiem sztuk jednocześnie. Okazuje się, że nie straszny im nawet deszcz. Wyczerpało nas podejście pod Babią Górę. Wiał zimny wiatr, który bardzo utrudniał pokonywanie kolejnych kamiennych stopni, do tego jeszcze mżawka i wszechobecna mgła. To nic nadzwyczajnego, albowiem na Królowej Beskidów w ciągu całego roku, pogodnych dni jest zaledwie kilkadziesiąt. Ze szczytu schodziło się równie ciężko, ale pocieszał fakt, że najwyższą górę na naszym ponad 500 kilometrowym szlaku mamy już za sobą. Niestety po raz kolejny zastała nas noc na szlaku. Do schroniska doszliśmy przed dwudziestą drugą i dopiero po rozbiciu namiotu odetchnęliśmy z ulgą, że zdążyliśmy przed ulewą, ponieważ po drodze znów była walka o przetrwanie.

Minęły cztery dni i dziś w końcu umyliśmy się jak ludzie tzn. w umywalce. Stopy, ramiona i plecy bolą coraz bardziej. Z każdym kolejnym dniem doceniam coraz bardziej to, co mam: że w domu ciepło, że nie kapie na głowę, że w gniazdku prąd, że w kranie woda. Czasem potrzebujemy właśnie takiego czasu jak ta wyprawa, żeby pojąć i docenić w jakim komforcie żyjemy.

dzień 5 (20 czerwca)

Leje. Obudziłem się około siódmej. Noc prawie nieprzespana, bo pomimo, że namiot rozbiliśmy w najdogodniejszym miejscu, to spadek terenu i tak zmusza nas do systematycznego, copółgodzinnego naśladowania ruchów stonogi. Deszcz pada nieprzerwanie od północy. Okazuje się, że natura bardzo nas ogranicza.

Pada już dwanaście godzin i jesteśmy uziemieni, bo jak tu zwinąć namiot w taką pogodę i ruszyć w dalszą drogę. Jednak

jakieś plusy tej pogody są: odpoczną nam stopy, ramiona i nogi. Oby przestało, choć na godzinę.

Mimo, że nadal pada wyruszyliśmy do Bystrej. Udało się zwinąć, a nawet trochę podsuszyć namiot w schronisku. Droga okazała się błotnym koszmarem. Pierwszy raz grzęzłem w błocie po kostki. Mój współczynnik tolerancji błota zwiększył się po dniu dzisiejszym dziesięciokrotnie. Dotarliśmy do Bystrej, gdzie nie znaleźliśmy noclegu.

Deszcz nadal siąpił. Zdecydowaliśmy się iść do Jordanowa, gdzie o dwudziestej trzeciej dwadzieścia obudziliśmy ks.Marcina. Rozbawiony przyjął nas, nakarmił i udostępnił salkę parafialną, w której rozpakowaliśmy nasze mokre plecaki na części pierwsze i rozbiliśmy namiot. Tak oto z Beskidu Żywieckiego weszliśmy w Beskid Makowski, by jutro już nocować w Gorcach.

GORCE

dzień 6 (21 czerwca)

Wstaliśmy wcześniej. Szybkie pakowanie i Msza święta o ósmej trzydzieści, po której zaproszeni zostaliśmy na śniadanie. W samo południe, w deszczu wyruszyliśmy do Rabki. Po minięciu „Zakopianki” na przepięknej – nawet w deszczu – polanie zgubiliśmy szlak. Zasięgnąwszy porady u miejscowych dzieci, skierowaliśmy się leśną drogą krzyżową, by wejść do Rabki od drugiej strony. Z Rabki weszliśmy w Gorce. Deszcz dzielnie nam towarzyszył. Po chwili odpoczynku i ogrzaniu się w bacówce pod Maciejową, sprawnie ruszyliśmy na Stare Wierchy, gdzie nocujemy pod dachem. Gospodarze wytłumaczyli nam, że korzystniej będzie jeśli do noclegu na bagnistym polu namiotowym dołożymy dwa złote, w zamian za co udostępnia nam całą świetlicę w schronisku. Okazało się, że życzliwość ich była jeszcze większa: napalili dodatkowo w piecu, żeby nasze rzeczy przeschły, pomogli zrobić kolacje, a nawet ją nam podali. Cóż za wspaniali gospodarze. Nawet noc na kanapie mi się trafiła. Dzięki Bogu za takie osoby.

dzień 7 (22 czerwca)

Ciepło było, lecz rzeczy nie wyschły. Spakowani wyruszyliśmy we mgłę. Nim Grześ zdążył powiedzieć, że dobra pogoda, bo nie pada, pierwsze krople spadły nam na głowy. Na Turbaczu odpoczynek, by dalej wyruszyć w deszczową drogę. Była tam też tabliczka, z której to dowiedzieliśmy się, iż sto osiemdziesiąt kilometrów mamy już za sobą, a zostało nam trzysta trzydzieści dziewięć. Z Turbacza szliśmy bardzo sprawnie, lecz mimo to droga zdawała się nie mieć końca. Po długich

godzinach dotarliśmy do wzniesienia. Gdy zaczęliśmy wspinaczkę, dopadła nas potężna burza. Brnęliśmy w rwącym potoku, wśród kamieni, które uciekały spod stóp, bo ścieżką tego nie można było nazwać. Resztką sił wdrapaliśmy się na szczyt Lubania. Baza namiotowa na Lubaniu nieczynna, ale dzielnie czekała tam na nas Liliana Janik², która dołączyła dziś do naszej dwuosobowej drużyny. Przez ten deszcz i grzęzawisko na szlaku czekała na nas parę godzin. Była lekko zmarznięta jak przyszliliśmy, ale nasza obecność bardzo ją ucieszyła.

Znów nocujemy pod dachem, lecz tym razem to tylko wiata, pod która udało nam się rozbić namiot. Grześ dokonał cudu i rozpałił ognisko z mokrego drewna, byśmy mogli podsuszyć ubrania i ogrzać się choć trochę. Ryż z warzywami smakował wyśmienicie. Deszcz dolał nam jak nigdy. Jeśli jutro nie przestanie padać, to trzeba będzie gdzieś zejść przesuszyć rzeczy.

dzień 8 (23 czerwca)

Deszcz. Kolejny dzień w wodzie. Po wczorajszym myślałem, że większy deszcz nas nie spotka, ale... myliłem się. Decyzja o tym, że zatrzymujemy się przesuszyć w Szczawnicy zapadła w nocy i jak się okazało – zresztą nie po raz pierwszy w czasie tej wyprawy – była to Boża opatrność, bo zgubiliśmy szlak schodząc z Lubania i wylądowaliśmy w miejscowości oddalonej od Krościenka o około pięć kilometrów. W Szczawnicy na koniec dosłownie przelała nas burza. Pioruny waliły w pobliżu, a my

² uczennica IV Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie.

ledwie brnęliśmy w błotnej rzece. W benedyktyńskiej pustelni³ przywitano nas ciepło. Bardzo chciałem odwiedzić raz jeszcze to miejsce w tym roku, a dobry Bóg tak poprowadził moje ścieżki, że tam trafiłem.

Państwo Niezgodowie⁴ przyjęli nas – zresztą jak zwykle – bardzo serdecznie. Wszystko się suszy. Do kaflowego pieca, obłożonego naszymi ubraniami, dorzucone drewno. Zjedliśmy domowy posiłek i był nawet deser. Jutro dzień odpoczynku, bo buty mokre, a prognoza mało optymistyczna. Zasypiamy, Gorce zaliczone.

³ Pustelnia tynieckich benedyktyńców znajduje się na południowym stoku szczytu Groń, niedaleko wyciągu krzesełkowego ze Szczawnicy na Palenicy.

⁴ Rodzina opiekująca się pustelnią, mieszkająca kilkaset metrów od benedyktyńskiej samotni.

BESKID SADECKI

dzień 9 (24 czerwca)

W nocy przeszła potężna burza i pobudziła prawie wszystkich. Poranki w Pieninach należą do wyjątkowo urokliwych, pod warunkiem, że nie pada. Nie mieliśmy jednak tego szczęścia i dzień zaczął się deszczowo. Około południa pojawiło się słońce. Dziś odpoczywaliśmy i od rana spędzaliśmy czas leżąc lub siedząc. Wszystko nadal się suszy.

Spotkałem Agatę Leśniewską⁵, która dołączy do naszej wędrowniczej ekipy za tydzień, dzisiaj natomiast, w roli wychowawcy kolonijnego chodziła z podopiecznymi po Pieninach. To niesamowite: Bóg jest reżyserem naszego życia – choć z początku może tego nie dostrzegamy – i gdy uświadamiamy to sobie, to ogarnia nas niewytłumaczalna wdzięczność.

Wieczór piękny rozgwieżdżony. Jutro rano wyruszamy dalej. Namiot nadal się wietrzy, a buty już prawie suche. Odpoczęły dziś zarówno stopy jak i ramiona.

dzień 10 (25 czerwca)

Wstać się nie chciało. Były problemy, by się zebrać i spakować, a do tego jeszcze przepyszne śniadanie, które opóźniło nasze wyjście. Państwo Niezgodowie wyposażyli nas na drogę w oscypki i pomidory, które przyjęliśmy z wielką radością i wdzięcznością. Dziękując za gościnę i pomoc, ruszyliśmy do

⁵ Studentka ochrony środowiska na Politechnice Gdańskiej.

Szczawnicy, by idąc z niej żółtym szlakiem dojść na Przechybę, a dalej już naszym czerwonym. Trasa piękna i lekka, lecz deszcz znów zaatakował. Były pioruny, grad jak orzechy laskowe i dużo wody. Wszyscy „najedliśmy się” trochę strachu. Choć Lili znów przemokły buty, to dzielna dziś bardzo była.

Nocujemy na pięknym polu namiotowym w Ryrtrze. Dobry dzień był, nawet bardzo. Jeszcze parę dni temu zastanawialiśmy się z Grześkiem jak to będzie się szło z Lilą, ale jest bardzo dobrze i sprawnie, a co najważniejsze wesoło. Na niebie znów widać gwiazdy. To pierwszy ciepły wieczór podczas naszej wędrówki. Siedzimy przed namiotem i odpoczywamy. Choć chcielibyśmy by ta chwila trwała wiecznie, to zmęczenie zamyka nam powieki.

dzień 11 (26 czerwca)

Wstaliśmy sprawnie, ale wyruszyliśmy dopiero o jedenastej. Rytro, małe miasteczko z górującym nad nim średniowiecznym zamkiem ujęło nas swoim urokiem. Szlak przyjemny, ale od razu zaczęło się ostro pod górę. Słońce świeciło, więc jakoś od razu tak różnie. Pierwszy przystanek na Cyrli, gdzie planowaliśmy nocować poprzedniej nocy. Miłe prywatne schronisko, bardzo zadbane, domowa atmosfera i wychodek na skarpie z pięknym widokiem na Beskid Sądecki. Ruszyliśmy dalej, szlak lekki i przyjemny. Ogólnie przyznać muszę, że czerwony szlak jest w tym Beskidzie wyjątkowo łagodny. Zejścia do wiosek i podchodzenie pod góry to krótkie ostre odcinki, natomiast reszta to jak spacer po lesie. Szybko przeszliśmy kolejne kilometry i nagle ukazała się naszym oczom Hala Łabowska z urokliwie położonym schroniskiem. Niebo coraz ciemniejsze, grzmoty i w końcu lunęło. Aż chciało się zostać na

noc. Posiiliśmy się, zostawiliśmy wpis w kronice i dalej w drogę. Czy dojdziemy do Krynicy? Wszystko zależne od pogody. Idziemy szybko, bo trasa łatwa.

Jesteśmy na Jaworzynie zwanej Krynicką, to ostatni szczyt Beskidu Sądeckiego. Od razu widać, że to kurort turystyczny. Na szczycie, więcej knajp, hoteli, parkingów, chodników niż trawy. W dole widac Krynicy Zdrój gdzie będziemy nocować. Krótki postój i ruszamy. Gubimy szlak i postanawiamy schodzić trasą narciarską. Zapada zmrok, zejście bardzo ostre, nogi wpadają między duże głazy. W końcu trafiamy na szlak, na szczęście...

Dwanaście godzin na nogach, a na końcu ten długi, nerwowy marsz po zmroku i nasze zdziwienie, gdy okazało się, że pole namiotowe na którym mieliśmy nocować nie istnieje od ponad roku. Pozwoliła nam się rozbić jedna pani prowadząca pensjonat. Rozbiliśmy namiot w ogrodzie, jak się później okazało o kilka metrów od studni, więc jedzenia i picia do woli. No i nie ma jak zanurzyć zmęczone stopy w lodowatej wodzie. Zjedliśmy kolacje i tradycyjnie zaczęło padać, ale dobrze, że dopiero teraz. Dzięki Bogu za wszystko. Do końca pozostały już tylko dwie mapy – oby bez deszczu.

BESKID NISKI

dzień 12 (27 czerwca)

Dziś natomiast dla odmiany obudził nas deszcz. W nocy przeszła wielka burza, natomiast regularnie padało do południa. Pisząc wczoraj, parę razy zasnąłem. Wypoczęci, wyruszyliśmy z Krynicy, która wywarła na nas duże wrażenie. Bardzo zadbane miasteczko z pięknie rzeźbionymi, drewnianymi domami, finezyjnie przyszyżoną zielenią oraz licznymi uzdrowskowymi pijalniami wody.

Szlak z drogi skręcał pionową ścieżką w las. Po żmudnym wspinaniu się zdobyliśmy szczyt Huzary. Było ciężko, godzina wędrówka ostro pod górę. Sprawnie znaleźliśmy się w Mochnacze. Typowa wioska z jednym sklepem i drugim otwieranym okresowo. Szlak prowadził nas dalej, ale nagle zniknął. Przeprawiliśmy się przez rzekę i szliśmy dalej ścieżka, ale po szlaku ani śladu. Zgubiliśmy się. Błądziliśmy po lesie około godziny odwracając kilkakrotnie mapę, za każdym razem wpatrując się w nią z nadzieją. Gdzie popełniliśmy błąd? Na którym rozstaju źle skręciliśmy? W końcu pojawił się szlak. Idziemy, napięcie opada. Jesteśmy wyczerpani psychicznie. Postanawiamy zmienić miejsce naszego noclegu i nocować w Izbach, zamiast w Hańczowej.

Przed Izbami znów gubimy szlak. Po pierwszym dniu wiemy, że to już nie Beskid Sądecki, Makowski, Żywiecki, Śląski czy Gorce. To Beskid Niski, piękny, dziki, ale zarazem fatalnie oznakowany. Mogą być problemy. Dochodzimy jednak do jakiś domostw i zaczynamy rozglądać się za miejscem na nocleg. Sklepu tu nie widać, to jedna z wiosek leżących na końcu świata. Nagle słyszymy dość sporą gromadę roześmianych dzieci.

Trafiamy na pensjonat o banalnej nazwie „Dom na łąkach”. Rozmawiam z panią gospodynią – notabene pochodzącą ze Śląska Cieszyńskiego, czyli rodzinnych stron mojej mamy – która pozwala nam się rozbić. Użycza nam swoją prywatną łązienkę. Ciepły prysznic – rozkosz. Robimy nawet małe pranie. No i jedzenie. Zupka chińska, słodka chwila i tradycyjnie jako słodki akcent – czekolada. Po raz kolejny doświadczamy ludzkiej życzliwości. Jakie to piękne.

dzień 13 (28 czerwca)

W nocy rzeka deszczu płynęła przez namiot. To było piękło. Ze snu wyrwał nas ostry deszcz, bombardujący nasz namiot. Grzesiek po chwili zawahania wyskoczył, by ratować suszące się pranie. Zdążył, było tylko wilgotne. Podłoga zaczęła przeciekać i środkiem namiotu popłynął strumyk. Do tego silny wiatr wyrwał śledzia od tropiku. Wyszedłem z latarką, po kilkudziesięciu sekundach znalazłem śledzia leżącego parę metrów od namiotu. Wróciłem po niecałej minucie. Wyglądałem jakbym wyszedł z basenu, byłem przemoczony do suchej nitki. Długo potem nie mogliśmy zasnąć, ale w końcu się udało.

Niedziela zaczynała się upalnie, tak niewinnie po tym, co działo się nocą. Po Mszy św. w pięknej cerkwi pw. św. Łukasza Ewangelisty z 1886 roku, która znajduje się w Izbach, wyruszyliśmy do Hańczowej. Nie było tam jednak sklepu. To znaczy był, tyle że w niedzielę zamknięty. Słońce nie oszczędzało. Miejscowi dali nam zimnej wody i nawet zaproponowali sok. Trzeba przyznać, że mimo wiejskiej infrastruktury w Beskidzie Niskim, mieszkają tu ludzie najgościnniejsi z dotychczas spotkanych.

Przyszedł czas na Kozie Żebro (847m. n.p.m.). Góra jak na swą wysokość, bardzo wymagająca. Wspinaliśmy się długo. Wycisnęła z nas „siódme poty”. To jednak było nic w porównaniu z zejściem: pionowa ściana w dół. Całe szczęście, że przy ścieżce rosną drzewa, o które można się oprzeć przystając. Trudno sobie wyobrazić, co musi się dziać na tym odcinku szlaku, gdy pada deszcz. Poczuliśmy, że jednak Bóg jest dla nas miłosierny, bo parę kropli deszczu spadło dopiero po zejściu do bazy namiotowej w Regetowie. A baza – cudo: jedzenie, herbata, lecz niestety nasza droga biegnie dalej i nie możemy tu zostać na noc, choć hamak kusi swą wygodą, a bazowi zachęcają do noclegu.

Ostatnią górą była Rotunda, z tajemniczym i na swój sposób mistycznym cmentarzem z czasów I Wojny Światowej. Tam chwila zadumy, kostka czekolady i do Zdyni, by około godziny 21 rozbić się na pastwisku nad rzeką. A było tak: zmęczeni idziemy przez Zdynię, patrzymy, płynie rzeka. Przy rzece kawałek równej łąki ze skoszoną (wygryzioną) trawą. Na drugim brzegu jakiś pan zamyka oborę. Wołam więc i pytam czy możemy się tu rozbić. On na to, że tak, tylko jak w nocy zacznie padać to nas „zmyje” z pastwiska. Ja na to, czy możemy, ale on mnie nie słyszy, bo krowy i rzeka zagłuszają me wołanie. W końcu z grymasem na twarzy i ze zrezygnowaniem machnął ręką i odchodzi. Odczytujemy to jako zgodę. Patrzymy na niebo i decydujemy się rozbić. Wieczorna toaleta w strumyku no i „chińszczyzna” na kolacje plus słodki akcencik. Dzięki Bogu za dzisiejsze słońce, pierwsze od 12 dni.

dzień 14 (29 czerwca)

Bajkowa jutrzienka po wyjątkowo pogodnej nocy. Postanawiam, że będzie dziś uroczyste śniadanie, czyli wielki popas na pastwisku. Wstaję wcześnie i wyruszam na poszukiwanie sklepu. Trafiam na dom z tabliczką „Sołtys”. Uprzejma pani sołtysowa kieruje mnie do blaszanej budy, która okazuje się sklepem. Kupuję świeży chleb oraz płatki i mleko, bo marzyłem o tym od paru dni. Śniadanie było wielką uctwą. Potem jeszcze zrobiliśmy pranie, no i w drogę.

Szlak prowadzi przez całą Zdynie, również obok sklepu w którym o poranku robiłem zakupy. Zatrzymaliśmy się by kupić jeszcze jakieś słodczyce. Spoglądamy na tabliczkę za szybą, na której informacja, że sklep otwarty od 7 do 10 oraz od 16 do 19. Przeczytaliśmy raz, drugi i trzeci, po czym zaczęliśmy się śmiać, na co wychylili się zza sklepu panowie z piwkami w ręku i śmiało powiedzieli, żeby zapukać do najbliższego domu, bo tam mieszka właścicielka i na pewno nam otworzy. Śmiało wchodzę więc przez ganek, pukam, dzwonię, a tu nic. Panowie krzyczą: Wchodź pan śmiało! Idę. Wchodzę przez przedpokój i słyszę ciężkie stukanie. Zaglądam dalej, a tu w następnym pomieszczeniu sprzedawczyni z toporem w ręku oporządza świnie. Taka, powiedzmy domowa masarnia. Cała we krwi pyta mnie czy ja sam, czy jeszcze więcej ludzi po zakupy. Tłumaczy, że jest nas trójka. Decyduje się nas obsłużyć. Kobieta cała we krwi z toporem w ręku pytająca w czym może służyć- bezcenne.

Podczas wędrówki stwierdziliśmy, że Beskid Niski powinien nazywać się raczej Beskidem „Błotnym”. To co dziś przeżyliśmy było straszne. Błoto do kolan. Oczywiście nie obeszło się bez deszczu. Te burze idą z nami, bo inaczej nie da się tego

wytłumaczyć. Nie było do tej pory ani jednego dnia, żeby nie zagrzało i nie spadła choćby jedna kropla deszczu.

W Krzywej postanowiliśmy zboczyć ze szlaku i dojść do Bartnego drogą przez Banicę zamiast przez Wołowiec. Powodem był strumyk przecinający szlak, który ostatnie opady zamieniły w rwący potok i gąszcz mokrej trawy, skutecznie utrudniający wędrówkę. Nie było sensu się mordować. A sama Krzywa to ciekawa miejscowość, jakby wymarła. Zatrzymujemy się na przystanku autobusowym. Wymalowana pstrokato blaszana buda – chyba przez dzieciaki. Zerkamy na rozkład. Okazuje się, że jest ważny od 21 czerwca do końca sierpnia, czyli aktualny. Według rozkładu autobus przejeżdża mniej więcej co godzinę, ale przy każdej godzinie jest literka „s”. Patrzymy na legendę i okazuje się, że owo „s” oznacza kursy w ciągu roku szkolnego. Pytanie: po co na czas wakacji wywiesza się świeży rozkład jazdy, skoro autobus kursuje tędy tylko w ciągu roku szkolnego? Ludzką bezmyślność czasem trudno ogarnąć.

Dookoła niebo pogodne tylko w jednym miejscu wiszą czarne chmury rozświetlane błyskawicami. Nie musimy patrzeć na mapę by zorientować się, że to właśnie w kierunku burzy prowadzi nasz szlak. Właściwie deszcz to taki nasz dodatkowy kompan podczas tej wędrówki, tylko czemu taki uciążliwy?

Bacówka w Bartnem, czy Bartnym, jak kto woli, o której tak wiele się mówi, niczym szczególnym nas nie zaskoczyła. No, może poza gospodarzem, który nie zwraca uwagi na turystów odwiedzających jego bacówkę.

Z Bacówki na Magurę. Szlak – koszmar. Błoto do kolan, nie da się przejść. Idziemy niczym pająki po siatce ogrodzenia rezerwatu. Na Magurze skrzyńka z pieczętką, więc przybijamy i

idziemy dalej do źródła. Nocujemy nieopodal owego źródła w samym środku Magurskiego Parku Narodowego.

dzień 15 (30 czerwca)

Dzień niesamowity i to bynajmniej nie ze względu na moje urodziny. Okazuje się, że wyłączony telefon znacznie ułatwia sprawę i póki co dostałem zaskakująco mało życzeń. Obiecałem dziś sobie, że napisze co nieco o naszym porannym wstawaniu. Mianowicie, codziennie po dzwonku budzika nikt ani drgnie. Śpimy niemało, bo po sześć, siedem godzin, ale jakoś trudno się nam zebrać. Gdy już jakimś cudem wyjdziemy ze śpiworów, to uwijamy się niczym muchy w smole, by wszystko zwinąć, upiąć i wyruszyć w dalszą drogę. No i tak codziennie to nasze poranne gramolenie się zajmuje około dwóch godzin.

Dzisiejsze rozbudzenie – dla odmiany – poszło sprawnie. Poranek w Magurskim Parku Narodowym był piękny. Okazało się, że na tropiku nie ma rosy, a rzeczy nam przeschły. Słońce grzało mocno i przyjemnie. Postanowiliśmy skrócić nieco szlak, by zdążyć dojść do Koła. Około godziny czternastej – planowo – dotarliśmy do Koła, gdzie czekała na nas Agata z Gdańska. Jej obecność zmniejszyła naszą przestrzeń w namiocie, lecz nasz wyjazd nabrał kolorytu.

Potem niespodziewany obiad u Ani – uczennicy Grzesia – i znów marsz. Podejście z Koła bardzo męczące, w skwarze, bez najmniejszego powiewu wiatru. Po zdobyciu Łysej Góry idzie się już lekko i po raz pierwszy nie słychać grzmotów, a na niebie piękny błękit. Dzień kończymy rozbiciem namiotu i noclegiem w Chyrowej za piękną starą cerkwią, przerobioną na kościół, w

pobliżu cmentarnych krzyży. Dzięki Bogu za rocznice tych dwudziestych czwartych urodzin. Amen.

dzień 16 (1 lipca)

Lipiec rozpoczął się upalnie. Szliśmy dziś zlani potem od stóp do głów. Poranny brak śniadania dał się nam bardzo we znaki. W pustelni św.Jana w Dukli pośpiewaliśmy ostro prawie godzinę. Dopiero tam zjedliśmy śniadanie, po którym mój żołądek zastrajkował i zmusił mnie, a zarazem całą naszą czwórkę, do dłuższego postoju. Mimo to, Dukla zapadła nam w pamięć jako miejsce piękne, spokojne i przepięknie modlitwą. To był piękny czas. Tego dnia dotarliśmy tylko do Iwonicza Zdroju, by o 21:50 zapukać do drzwi samotnego domu w lesie. Gospodarze okazali się bardzo gościnni i zamiast trawnika przed domem, udostępnili nam górną część domu i poczęstowali pyszną kolacją.

Zasypiamy w ciepłe, buty suche, pojedzeni. Jutro długa droga, więc pora spać. Po raz kolejny to piszę, ale mam ku temu powody: dzięki Bogu i ludziom za takie ilości miłości.

dzień 17 (2 lipca)

Dzień udany, bo słońce świeciło cały czas. Poranek u miłosiernych gospodarzy. Potem pożegnanie Lili – wraca do Krakowa. Spędziła z nami tydzień. To był tydzień głównie w deszczu i błocie. Przysiąc trzeba, że przeszła z nami naprawdę dużo i wcale jej nie odpuszczaliśmy. Zuch dziewczyna! Agata została sama, ale mimo to dzielnie spisywała się na szlaku.

Jesteśmy gdzieś w drodze z Puław do Komańczy. Rozbiliśmy się w lesie, zaraz przy ścieżce. To trzydzieści kilometrów szlaku, gdzie nie ma. Mamy mały problem z pieczywem, albowiem w Puławach nie było sklepu, mimo tego, że na mapie był wyraźnie zaznaczony. To już nie pierwszy błąd na mapie. Jednak świadomość, że jutro wejdziemy w Bieszczady, tzn. mam taką nadzieję, jakoś dodaje nam otuchy.

Zanim jednak odłożę, długopis i notes, wspomnę o dzisiejszym pobycie w bazie namiotowej w Wisłoczku. Baza namiotowa jak to baza, ma wiatę, miejsce na rozbicie namiotów, ale prócz tego ma studnie i to co nas najbardziej zdumiało: saune oraz wodospad. Spędziliśmy tam godzinę i to było coś. Choć z sauny nie skorzystaliśmy, bo baza nie była jeszcze czynna, to kąpiel pod wodospadem w promieniach słońca był przeżyciem nie do opisania. Po upalnym dniu tego, nam trzeba było.

BIESZCZADY

dzień 18 (3 lipca)

Przeszliśmy Beskid Niski i jesteśmy w Bieszczadach. Ciszę się wielce. Pomimo przestróg różnych osób, dzisiejszy szlak dobrze oznaczony do pewnego momentu. Mianowicie około dwóch godzin drogi przed Komańczą znaki znikają. Pojawia się ostatni raz na słupie w szczerym polu, po czym widzimy przed sobą las do którego prowadzi parę ścieżek, ale przy żadnej nie ma szlaku. Wybraliśmy jednak jedną z nich. Czuliśmy się jak żołnierze przedzierający się przez las. Nogi mamy zmasakrowane od ostrzeżyn i pokrzyw. W sklepie w Komańczy wykupiliśmy ostatni chleb, w aptece maść na nasze pokiereszowane nogi. Krótki odpoczynek i dalej w stronę Cisnej.

Jeziorka Duszatyńskie piękne. Po drodze, przy szlaku mijaliśmy studnie, z której gospodyni pozwoliła zaczerpnąć świeżej i zimnej wody. Zastała nas noc, ale szliśmy dalej by dotrzeć na Chryszczatą, na której teraz nocujemy. Dosłownie na szlaku rozbiliśmy nasz namiot. Po trzynastu godzinach wreszcie jemy pyszny posiłek: ryż z fixem i szynka z puszki. Palce lizać! Z braku jedzenia zaczynaliśmy już mieć omamy po drodze i widzieliśmy lampę przy domu, która okazała się księżycem. Przeszliśmy dziś dużo, na nasze nogi nawet nie chcemy patrzeć no i kolejny dzień bez deszczu.

dzień 19 (4 lipca)

Dziś szło się wspaniale. Wstaliśmy pospiesznie, zwiniliśmy namiot i w dół do bazy namiotowej na Przełęczy Żebrak, w której chcieliśmy zjeść śniadanie. Bazy nie było. Byliśmy

zdenerwowani i mocno rozgoryczeni. Podłamało mnie to trochę – taki mały kryzys. Zresztą dzień wcześniej mieliśmy dotrzeć do tej bazy na nocleg. Dobrze, że tego nie zrobiliśmy. Zjedliśmy więc śniadanie przy szlaku i ruszyliśmy dalej. Szło się dobrze. W porównaniu z innymi górami, po Bieszczadach wędruje się najprzyjemniej. Szlaki są dobrze wytyczone i gęsto oznakowane, a podejścia wygodne. Po drodze spotkaliśmy ludzi, których później wyprzedziliśmy na szlaku. Szliśmy bardzo sprawnie. W Cisnej byliśmy prawie godzinę przed planowanym czasem. Uzupełniliśmy żywność, zjedliśmy posiłek i znów na szlak. Góry zaczęły się robić coraz wyższe, ale nadal szło się dobrze.

Agata bardzo dzielnie się spisuje. Doszliśmy do pięknej polany na samym szczycie Jaśła. Sprawdziliśmy jaki mamy zapas wody i padła propozycja, by zostać tu na nocleg. Tak też się stało. Siedząc w namiocie mamy widok na góry. Oglądamy piękny zachód słońca nad Bieszczadami, jemy pyszną kolację i spokojnie zasypiamy, by rano wstać, obejrzeć wschód słońca, zejść do Smerka i przejść połoniny. W środku nocy wychodzę z namiotu w poszukiwaniu „toalety”. Nie wierzę w to, co widzę: piękne niebo, jak w planetarium, dookoła góry, pod nimi pieżyna z mgły, rozświetlona księżycem łąka, a na niej nasz namiot. Cudownie. Jak z bajki. Świeczki stają w oczach...

dzień 20 (5 lipca)

Pobudka o czwartej czterdzieści i wschód słońca. Zapowiada się piękny i długi dzień. Szybkie śniadanie i w drogę przez Okrąglik do Smerka. Szliśmy szybko i bez problemów, a pogoda była wyśmienita. W Smerku, w rzece Wetlince wzięliśmy orzeźwiająca kąpiel i zrobiliśmy szybkie pranie. Założyliśmy lekkie

ubrania, bo słońce przygrzewało coraz mocniej. Po minięciu budek wstępu do Bieszczadzkiego Parku Narodowego (BPN) i tradycyjnym zostawieniu paru złotych, rozpoczęliśmy wspinaczkę na szczyt Smerka.

Wśród polskich parków narodowych BPN ma chyba najwyższe ceny biletów wstępu. W dodatku bilety często są sprawdzane również przy wyjściu z BPN. Jedyne, co usprawiedliwia owe opłaty, to dobre oznakowanie, zadbane, przystosowane i czyste szlaki. Przystosowane czasami aż nazbyt, tzn np idąc z Ustrzyk Górnych czewonym szlakiem przez Szeroki Wierch na Tarniczkę, po drodze w dosłownie każdym miejscu gdzie istnieje możliwość pojawienia się większego błota zrobione sa dewniane mostki. Moim zdaniem trochę w tym przesady, bo to jednak są góry, a na bulwar spacerowy. Od razu przypomina się Beskid Niski, gdzie szliśmy głównie po błocie. No, ale tak jest. Trzeba się cieszyć z tego, że szlak jest widoczny i że jest czysto.

Po niespełna dwóch godzinach podejścia stoimy na szczycie Smerka. Słońce jeszcze nie grzeje mocno, więc szło się sprawnie, choć końcowe podejście, jak zawsze dało w kość. Smerek to góra w Bieszczadach, na której byłem największą ilość razy. No i znów tu jestem, tym razem rankiem. Rok temu oglądałem tu wschód słońca i od tego czasu – jak to w górach zazwyczaj bywa – niewiele się tu zmieniło. Skoro już wdrapaliśmy się na Smerek to przyszedł czas na przerwę, by coś zagryść. Przyglądamy się temu co nas czeka: obie Połoniny dumnie prężą się przed nami, piękna pogoda. Idziemy dalej.

Dziś niedziela, prócz tego są wakacje, więc mnóstwo ludzi na szlaku. Czasami idziemy pod górę gęsiego w grupach kilkudziesięcioosobowych. Piękne widoki jak tylko mogą starają się rekompensować ten tłok. Nigdy wcześniej w Bieszczadach nie

widziałem tylu osób na szlaku. I nawet nic by w tym takiego przykrego nie było, gdyby nie damy spacerujące w butach na obcasach lub japonkach z torebkami w rękach, palące papierosy i narzekające na szlak, pogodę, brak toalety. Niestety przystając choć na chwilę przy Chatce Puchatka na Połoninie Wetlińskiej, człowiek narażony jest na takie wrażenia. Można dostrzec pasmo Jasła, gdzie rano obudziliśmy się i gdzie nie było spotkaliśmy „żywej duszy”.

Od Chatki Puchatka szlak łagodnie, ale sprawnie schodzi do Brzegów Górnych. Nadrabiamy trochę czasu. To połowa Połonin. Czeką nas teraz najtrudniejsze podejści. Chyba ostatnie takie ciężkie. Ja i Grzesiek wiemy, co nas czeka. Agata jest nieświadoma – może to i dobrze. Jesteśmy z Grześkiem pełni podziwu, że Agata tak sprawnie wędruje, bo przecież też ma ciężki plecak, a idzie takim samym tempem jak my.

Udało się. Jesteśmy na szczycie Połoniny Caryńskiej. Było ciężko, naprawdę. Czuliśmy się jak ślimaki, które ledwo brną pod górę. Na szczęście popołudniowe słońce nie grzało tak mocno. Po drodze, zatrzymaliśmy się przy źródle, które dwa lata wcześniej uratowało mi życie. Teraz siedzimy, jemy czekoladę i pijemy witaminę. To moje ulubione miejsce w Bieszczadach i ludzi tu prawie nie ma. W dole widzimy Ustrzyki Górne, całe pasmo Tarnicy i Wołosate – cel naszej wędrowki, cel do którego zmierzamy od dwudziestu dni, cel, który wydaje się teraz jakoś śmiesznie blisko, cel, w który tyle razy podczas tych pięciuset kilometrów zdarzało nam się wątpić, ale teraz jest, widzimy go i wiemy, że jutro możemy go zdobyć. Łza się w oku kręci.

Podczas zejścia okazało się, że jest zmieniony szlak, ale poradziliśmy sobie. Zdążyliśmy na Msze św., a tak dokładnie, to weszliśmy do kościoła dwie minuty przed rozpoczęciem.

Wspaniale, że się udało, bo jeszcze rano wydawało się nam to mało realne.

Stopy bolą mnie niemiłosiernie, Grześka kolano znów się odezwało, a Agata podczas zejścia źle stanęła i kostka ją pobolewa. Najlepszym numerem dzisiejszego dnia był jak zwykle sposób załatwiania noclegu. Jako, że po Mszy nie chailo nam się iść na pole namiotowe, to zapytaliśmy księdza, czy nie możemy się gdzieś przy kościele rozbić, no i się zgodził, ale... zamiast w namiocie, nocujemy w salkach parafialnych. Wykąpani po dwa razy, pachnący, najedzeni idziemy spać.

Cel na dziś wykonany. Nie ma co, Bóg nam błogosławi w naszym trudzie.

dzień 21 (6 lipca)

Ranek sprawny. Szybko uwinęliśmy się ze śniadaniem i o 7:15 wyszliśmy na szlak. Po paru metrach okazało się, że Agata niestety daleko nie zajdzie, bo ścięgno Achillesa dało o sobie znać po wczorajszym maratonie.

Trochę smutni, wyruszyliśmy z Grzesiem sami, by zakończyć to, co zaczęliśmy. Zupełnie przypadkowo tak się stało, że zaczęliśmy we dwóch i kończymy we dwóch. Szliśmy szybko, chyba najszybciej jak potrafimy. Agata proponowała, żebyśmy zostawili plecaki, skoro i tak wrócimy znów to Ustrzyk, ale ambicja nam nie pozwoliła. W drodze na Tarniczkę przez Szeroki Wierch zatrzymaliśmy się zaledwie dwa razy i nadrobiliśmy dzięki temu sporo czasu. Na Tarnice nie weszliśmy, bo nasz szlak ją omija, podobnie jak Piłsko w Beskidzie Żywieckim. Po drodze urzekł mnie Halicz – piękne miejsce. Mimo, że jest wysoką górą i

wygląda pokaźnie, to podejście na niego, to jedno z najprzyjemniejszych, jakie nam się trafiło. Niestety, gdy tylko zostaliśmy z Grześkiem sami na szlaku tzn. bez Agaty, to od razu złapał nas deszcz. Było to za Rozsypańcem. Najgorsze było to, że przez te 21 dni nasze buty widziały o wiele więcej wody, a tu dziś po piętnastu minutach deszczu, mieliśmy w nich „baseny wody”. Trochę naszej winy w tym było, bo nie chciało nam się ubierać ochraniaczy i woda po nogach spływała nam do butów. Prawda taka, że deszcz zaczął padać, a my już gdzieś w środku myśleliśmy o końcu. Na szczęście to tylko przelotny opad. Pospiesznie pokonaliśmy końcówkę szlaku, który biegnie leśną drogą i wije się w nieskończoność, by dumnie stanąć w Wołosatym przy tablicy kończącej Czerwony Szlak Beskidzki. Jakie cudowne uczucie. Łzy się cisną w żołądku skręca. Chce mi się skakać i krzyżeć. Bez wątpienia jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Zrobiłem to, udało się! Dzięki Wam wszystkim, którzy we mnie wierzyliście.

Zjedliśmy coś na słodko z okazji naszego sukcesu i stopem wróciliśmy do Ustrzyk Górnych. Niesamowite uczucie, podjechać kawałek samochodem, po przejściu prawie pięciuset dwudziestu kilometrów. Polecam...